

Obcy

Ridley Scott w nowym „Obcym” porzuca metafizykę. Przesłanie filmu ilustruje nowy etap politycznej poprawności hollywoodzkiej lewicy



Nowy „Obcy”, to nie tylko słaby, auto-epigoński film, ale zupełnie nowe przesłanie. W przeciwieństwie do filmu przesłanie jest bardzo ciekawe ilustruje bowiem – jak miemam – nowy etap politycznej poprawności hollywoodzkiej lewicy – pisze Dariusz Karłowicz w felietonie, który ukazał się na łamach tygodnika „wSieci”

Pierwszego „Obcego” widziałem po raz pierwszy w kinie Sawa. Kina dawno już nie ma, ale wrażenia się nie zatarły. Siła najlepszych filmów Ridleya Scotta polega na umiejętności łączenia kina akcji, wyrafinowanej plastyki (trudno nie wspomnieć o moim ulubionym „Pojedyнку”) z naprawdę poważnymi pytaniami. Fakt, że z

odpowiedziami bywa gorzej, to temat osobny. Zresztą Scott zawsze był reżyserem nierównym. Wielki w „Łowcy androidów”, „Gladiatorze”, „Helikopterze w ogniu”, słaby w „Królestwie niebieskim”, niemądrze poprawny „Thelma i Luise”, pretensjonalny w „Prometeuszu”.

Trudno wątpić, że „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” (1979), to był ten wielki Scott. Film wciskający w fotel, z kadrami, których niepodobna zapomnieć i co najciekawsze stawiający niepokojące pytanie o zło i to zło – chciałoby się powiedzieć: metafizyczne. To było wielkie novum. Filmy s-f jeśli już opuszczały terytorium rozrywki, to szły w stronę polityki.

Wątek walki ze obcymi jest oczywiście cechą gatunku (pysnie pokpiwał sobie z tego Stanisław Lem). Ale ci na pozór całkowicie obcy kosmici, to byli przecież zwykli polityczni wrogowie. Nawet jeśli mieli macki i wyłupiaste oczy, to ich cele były zawsze bardzo ludzkie: zasoby, terytorium, władza. Zjawiali się z armią, wydając wojnę na śmierć i życie – byli kwintesencją wroga, który chce nas podbić. Tak w każdym razie było w czasach zimnej wojny. To nieprawda, że nazywając ZSRR Imperium zła Ronald Reagan powiązał niepowiązane wcześniej rzeczywistości. Wszyscy wiedzieli, że kosmici, to przecież Sowieci.

Z tej perspektywy pierwszy „Obcy”, to było coś zupełnie zaskakującego – odpowiedź na pytanie skąd wzięło się zło pozostawała bez odpowiedzi. Tego, co ukryło się w zakamarkach statku Nostromo nie można było opisać językiem politologii. Choć Obcy nie był wrogiem wolnego świata, wartości Zachodu czy demokracji, to przecież mógł zniszczyć wszystko. Dziwny potwór-pasożyt dla którego nie byliśmy nawet wrogiem, ale jedną z form życia niezbędnych do rozwoju – istniał

gdzieś poza polityką (a nawet moralnością). Spotworniały wirus Camusowskiej Dżumy pytanie o zło przenosił w obszar metafizyki. Na tle prometejskich nadziei związanych z podbojem kosmosu i marzeń o nowy wspaniałym świecie Scott występował jako ambasador tezy o nieusuwalnej przygodności świata. Zawsze istnieje jakiś cień, niedoskonałość, cierpienie, śmierć. W mroku jest i zawsze będzie czaić się zło. Męstwo, rycerskie cnoty są naszym losem. Trzeba walczyć i wygrywać – wiedząc zarazem, że walka nigdy się nie skończy.

Na tym tle nowy „Obcy”, to nie tylko słaby, auto-epigoński film, ale zupełnie nowe przesłanie. W przeciwieństwie do filmu przesłanie jest bardzo ciekawe ilustruje bowiem – jak miemam – nowy etap politycznej poprawności hollywoodzkiej lewicy. Scott porzuca metafizykę. Zbyt trudno uciec od współczesnego kontekstu: od Trumpra, od kwestii polityki imigracyjnej, od grozy terrorystycznych zamachów.

Od czasów Spielberg’owskiego „ET” Obcy powinien być dobry: reprezentuje dowartościowywaną odmienność – jest figurą mniejszości, która pada ofiarą braku zrozumienia i tępej agresji. Film bierze na siebie funkcje dydaktyczne – uczy odruchów tolerancji, ćwiczy w pogardzie dla braku otwartości na inność, zwalcza skłonność do stereotypów.

W nowym filmie Scotta dydaktyzm idzie krok dalej. Nie da się ukryć: Obcy chcą nas zgładzić, ale uwaga – winić za to możemy tylko siebie. Tajemnica pochodzenia zła decydująca o sile pierwszego filmu rozwiewa się. Na początku łańcucha przyczyn, które doprowadziły do powstania siejących terror kosmicznych potworów stoi ludzka pycha

(pycha Zachodu?). Nie ma już metafizycznej zagadki. To my wprowadziliśmy w ruch proces, którego ofiarą padamy. Kosmiczne potwory stworzył android pragnący emancypacji i zemsty. Otwierająca film scena, w której uduchowiony robot zostaje przez swego twórcę zmuszony do prostych posług wyjaśniać ma, że pragnienie odwetu ma solidne podstawy w naszej nikczemności.

Mamy tu wariant opowieści o doktorze Frankensteinie. Paradoks polega na tym, że dzieło (ów zbuntowany android) okazuje się potworem nie dlatego, że twórcy nie udało się stworzyć prawdziwego człowieka, ale właśnie dlatego, że stworzył kopię doskonałą. Grany przez Fassbendera robot, którego nierozważnie wyposażono we wszystkie ludzkie cechy (delektuje się Shelleyem, Byronem, Wagnerem) jest potworem ponieważ jest do nas podobny. Stworzony na nasz obraz i podobieństwo odpłaca złem za zło, którego doświadczał od nas. Jego pycha i jego nienawiść są doskonale ludzkie.

Ridley Scott powtarza nową mantrę lewicy. To prawda Obcy, który mieszka wśród nas może nas zniszczyć. Czy możemy go winić? To myśmy go stworzyli, wykształcili, wyszkolili, myślny go poniżyli i odebrali mu godność, myślny wpoili chęć zemsty. Nienawidzi nas naszą nienawiścią. Ma dużo racji i być może zwycięży. Trzeba się z tym pogodzić.

Dariusz Karłowicz

Felieton ukazał się w tygodniku „wSieci” nr 25/2017